TYDZIEŃ

polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

REDAKTOR

JÓZ. JGN. KRASZEWSKI.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą 1 sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi rocznie **talar. cztery**.

Rok I. Drezno, dnia 25. Września 1870. **№. 39.**

Drezno, 18—25. Września 1870.

Wojska połączonych Niemiec otaczają Paryż, włoskie, po krótkim oporze, weszły i zajęły Rzym. — Spełniają się niezbadane wyroki Opatrzności, nielitośnie, straszliwie jak sąd nieodwołalny... Wobec tych wypadków któżby śmiał odgadywać, domyślać się przyszłości? Wiemy tylko z dziejów, które nie przestały ulegać jednemu prawu, że nigdy się z obrachowaniem skutków śpieszyć nie należy. — Są one często cale przeciwne oczekiwanym.

Usiłowania zawarcia pokoju, okupionego największémi ofiarami, spełzły, dzienniki niemieckie przewidują nawet długoletnie osadzenie Paryża i narzucenie rządu Francij wedle upodobania zwycięzcy. Paryż do rozpaczliwej gotuje się obrony, ale w nim tyle jest żywiołów różnych, które zbliżenie się wojsk niemieckich ośmieli, iż niepodobna wróżyć, by nawet rozpacz potrafiła go ocalić. — Thiers zwątpiwszy, ażeby dalsze starania dyplomacij na cokolwiek przydać się mogły, powrócił do Tours. — Żałobne chorągwie, na opactwie St. Denis wywieszone, są dziś narodowém godłem kraju, który czarną ma przyszłość przed sobą.

Panowanie nad Europą obejmują germańskie ludy, upojone swoją potęgą aż do zaślepienia..

Współcześnie prawie Włochy dawno upragnionego doszły Rzymu, chwyciły go, owładły nim i świecka władza Papieża runęła. Nie było nikogo, coby w imię świata katolickiego zaprotestował... Panowanie praw międzynarodowych, traktatów i historycznych tradycij skończone; prawem nowej epoki jest — siła. Żadne względy ludzkości, poszanowania, miłosierdzia nie wchodzą w rachubę; spełnia się ślepo, co nakazuje interes. I ta święta pustka rzymska, to cmentarzysko wieków, ten relikwiarz dziejowy, tak cudowny w swém opuszczeniu, tęsknocie a ubóstwie cielesném; tak bogaty w skarby dla ducha, jutro zmieni się na wrzawliwą prozaiczną stolicę, koszary i biura. Telegraf się uczepi kolumn na Forum sterczących, kolej poleci pod łuk Konstantyna, a Katakumby obrócą na łożyska rur gazowych. — Czego nie doniszczyli Wandale, dobije cywilizacja. Starszym ludziom, patrząc na te przewroty, może odpaść ochota do życia. Jest to widocznie początek dramatu, którego nie dożyjemy końca, więc czas wyjść z widowiska....

Stanowisko Rosij, wobec wypadków we Francij, godném jest zastanowienia; milczy ona, powtarza, że chce być neutralną, ale organa półurzędowe zapowiadają, że uzna wszelki rząd uczciwy i dający rękojmię trwałości stosunków. W prowincjach nadbaltyckich demonstracja niemiecka z powodu zwycięztw oręża bratniego, nie przechyli pewnie szali ku Niemcom. Mówią, że zebrane składki dla rannych, rząd kazał rozdzielić porówno dla Francuzów i Niemców.

Chociaż wzmianki wyraźnej nie znajdujemy o tém nigdzie, czuć, iż Prusy pokojową interwencję mocarstw neutralnych od-

---

Szlachta drobna na Polesiu.

Z pamiętników i notat ś. p. J. Gluzińskiego.

Część I.

O Polesiu w ogólności. — O Poleszukach. — O drobnej szlachcie. — Jej pochodzenie, siedziby, język, religija, oświata, sposób życia, zatrudnienia i prace, ubranie, obyczaje i zwyczaje, choroby i sposoby kuracji. — Przywiązanie do swej ziemi.

(Ciąg dalszy.)

Suchot i wyniszczenia (konsumcji) nigdzie u Poleszuków nie widziałem, mimo to, że ledwie nie każdy jest sucherlawy i wychudły, bo też nędzne jest ich życie. Bardzo późnego wieku, jak ludzie w polowych okolicach, nie dochodzą, jednakże można spotykać starców po lat około ośmdziesiąt, — ale nie widać tu białych włosów od starości, długo zatrzymują barwę czarną a tylko nieco w późnych latach siwieją, czerstwość a nawet siłę i zręczność prawie do kresu swego życia zachowują.

Przywiązanie ich do swej ziemi i do chat i do lasów i do wód i do błot, po których bujają letnią porą i do tych śniegów i lodów, którémi ich zima obficie obdarza, nawet do tych kopciów po chatach; przywiązanie to jest tak wielkie, iż szlachciura Poleszuk, za nic swojego stanowiska zamienić sobie nie życzy. Próbowano ich brać do dworskiej służby, a mimo dobrego odzienia i wygód, nadzwyczajnie tęsknią do dawniejszego swego biednego sposobu życia i chętnie do niego wracają.

Najobfitsze łzy leją, gdy którego z niewylegitymowanych biorą w rekruty, z nich też nierzadko się słyszeć daje o dezerterach z wojska, starannie się po lasach i spokojnie przechowujących. — Jednego razu spotkałem trzech ludzi w poprzek traktu przechodzących lasem, o kilka mil za miastem Owruczem; gdy stanęli jakby na mnie blizko nadjeżdżającego czekając, pozdejmowali czapki, ostrzyżone krótko włosy, popomieszane niepokojem twarze, wprawiły mię w podejrzenie a trudno było pogonić, bo ogromnie była piaszczysta droga; nadrabiając więc miną, niby dość śmiałą, kazałem stanąć, myśląc że koniecznie im poddać się trzeba i odważnie rzekłem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

trąciły. Postawa Austrij, zaprzątnienie Włoch Rzymem, nie dozwala ani przypuścić nalegania silniejszego, którego Rosja osamotniona poprzeć by czynnie nie mogła. — Dzienniki rosyjskie odzywają się mniej więcej śmiało za rozwiązaniem ugodném sprawy polskiej, która i dziś jeszcze cięży, a oddziaływa na stosunki środkowej Europy. Nie potrzebujemy mówić, iż rozwiązanie to uważamy dopóty za niemożliwe, dopóki Rosja trwa w fałszywym systemie eksterminacyjnym; póki nie uznaje nawet istnienia prawnego Polaków, póki nie zrobi ofiary z fałszywych zasad i idei, na których reformę państwową oparła. Najlepszy to i nauczający przykład jak niebezpieczną jest siła, która granic sobie nigdy prawie zakreślić nie może, i zrozumieć, że dochodząc do gwałtu, dosięga do kresu swego.

Pomimo głosów dziennikarstwa, w Polsce i prowincjach postępowanie się wcale nie zmieniło. Najgłówniejszym faktem jest wystawa rolnicza w Królestwie, wedle jednych dosyć uboga w okazy, wedle drugich bardzo świetna. Cyfry dowodzą, iż ogół nie wiele się nią zainteresował. — W dzisiejszém położeniu Polski do najpilniejszych zadań należy rozwój gospodarstwa, rękodzieł i przemysłu. Jedną stroną przyparta do Europy, drugą do ogromnego państwa, pozbawionego przemysłu, fabryk, oświaty i materjałów do żywszego postępu, Polska może i powinna korzystać z położenia swojego, aby wynagrodzić straty ekonomiczne nieprzeliczone, podbojami spokojnemi na polu przemysłowém rękodzielniczém i handlowém. Gospodarstwo rolne dostarczające surowych materjałów do wielu wyrobów jest w związku z przemysłem i iść z nim musi ręka w rękę. — Dzienniki Królestwa pełne są jeszcze więcej wojny niż domowych spraw. Kraj cały gorączkowo słucha szczęku dochodzącego z nad Sekwany i łzami oblewa siostrzyną żałobę. Ale obok tego Warszawa namiętnie także wita Modrzejewskę i Królikowskiego w Zbójcach.

W Kielcach zapowiedziana gazeta rozpocznie wychodzić d. 1. Października. Moniuszko urządza swój koncert doroczny, a Halkę jego grają znowu w Petersburgu. Rząd dozwolił p. Feliksowi Sobańskiemu udać się ze czterema lekarzami do Szwajcarij pod rozporządzenie międzynarodowego Towarzystwa opieki nad rannymi.

W dziennikach mowa jest o kolei nowej, wprost z Poznania do Warszawy mającej się przeprowadzić.

W Austrij stanowczo przemogła polityka niemiecka i ofiara wspomnień dawnej wielkości a żalu do Prus za rok 1866. — uczyniona, jak się zdaje, dla ocalenia egzystencij. Przyszłość łatwa do odgadnięcia, jeśli dalej pójdzie ona tą drogą. Poparcie Prus da jej siły do utrzymania niemieckich żywiołów przy dawnej ich przewadze; nie zdziwi już potém, gdy przez nie i dla nich Austrja wejdzie do Związku niemieckiego, i wojska swe podda pod hetmańską władzę króla pruskiego. Wszystko jest możliwém, gdy nie ma poczucia siły, a idzie o życie.

Rezultat ten, jak dla Rosij pomyślnym być może, wskazywać nie potrzebujemy. Zwycięztwa pruskie oddziaływają tak wszędzie, począwszy od Rygi do Wiednia.

„Dziennik poznański“ umieścił w jednym z ostatnich numerów uwagi o Galicij i jej postępowaniu obecném, przypominając, że w chwili stanowczej bawiono się tu drobnostkami, szermowano słowy, zamiast poważnie skupić się do czynu. — **Kraj** odpowiedział na to, przyznając się do winy, ale cała ta kwestja, jak się zdaje, nie jasno postawiona, ominięta jest raczej niż rozwiązaną. — To pewna, że z największą miłością i współczuciem dla Galicij, trudno tu upatrzeć ludzi, co by stali na wysokości wypadków. Polityka zajmuje wszystkich, ale ona jest narzędziem nie celem. Ludzie nowi nie mają dość siły i taktu, by przeważnie wystąpić; ludzie dawni ciasnym poglądem i tchórzliwym grzeszą konserwatorstwem. W ogóle jednym i drugim polityka służy za plac igrzysk i popisów raczej, niż gorącej pracy ofiarnej dla kraju.

Ale Galicija przyszła nagle do życia politycznego, i nie dziw, że one ją zastało nieprzygotowaną. — Ludzie wyrabiają się powoli.

Kraj ogłasza ofiarę groszową dla rannych Francuzów, jako oznakę braterstwa i współczucia. W odcinku — Efemeryczny Hofrat (Julian Klaczko) fotografia, do której dobitniejszego rysu brak może osobistego zbliżenia i szczegółów charakterystycznych.

W dziennikach lwowskich ogólnie przemaga historija wojny, o sprawach krajowych mało, — czują wszyscy instynktowo, że losy narodu francuzkiego wpłyną i na naszą przyszłość, i na losy Austrij, ztąd owo gorączkowe wpatrzenie się i wsłuchanie w każdy ruch wojsk, w każde drgnienie tych mass zbrojnych, w każdy najlżejszy promyk nadziei — coraz słabnącej. **Dziennik polski** zawiera ciekawą wzmiankę o prowincjonalnej wystawie obrazów i starożytności w Brzeżanach, która wiele pięknych i ciekawych ma zawierać rzeczy.

Dziennik poznański, oprócz obfitych zawsze wiadomości z placu wojny i miejscowych, umieścił dwa artykuły o Galicij i o publicystyce rosyjskiej ze zwykłym zdrowym sądem, który poglądy jego odznacza; w odcinku bardzo zajmujący list z podróży lekarza i protokół z drugiego posiedzenia komisij ortograficznej, która przyjęła za podręcznik do swych prac grammatykę ks. Malinowskiego. — W ostatnim numerze znaleźliśmy krótką odpowiedź Dziennika na zarzuty, jakie mu uczyniły galicyjskie perjodyki z powodu jego artykułu. Nawet „Czas“ nie przyznaje się do bezpłodnego krytycyzmu — aleć zarzuty „Poznańskiego dziennika“ więcej mają za sobą niż słowa — bo niezbite fakta. Dość się przypatrzeć skutkom polityki galicyjskiej.

W **Gazecie toruńskiej** dla szczuplejszych jej rozmiarów a obfitego materjału z pola wojny, mniej się odbija teraz życie prowincij, której jest organem; znajdujemy w niej wszakże

---

— Na wieki wieków Amen! — odpowiedzieli z grzecznym ukłonem.

Jeden z nich się odezwał:

— Przez miłość Boską i bliźniego racz nas pan pokarmić, trzy dni nic nie jedliśmy.

— Dobrze — rzekłem — chodźcie do mnie bliżej! — a jakby na szczęście ich miałem bochen chleba jeden i drugi, choć razowego ale dobrego i pas słoniny, i kilkanaście cebul, i parę butelek wódki, bo jadąc na Białoruś, bez zapasów trudno odbywać podróż i prawie z głodu na tym trakcie umieraćby trzeba, aż do Wielkiego Mohylewa, gdzie nowe trzeba robić przybory, prawie aż do Witebska. Wysiadłem, kazałem dobyć butelkę i czarkę, chleb, cebulę i słoninę, wypiłem do nich zdrowie braterskie, rozdzieliłem bochen na trzy części, ukrajałem po kawale słoniny i dodałem po parę cebul, upominając aby jedli pomału i niewiele gdy bardzo głodni; całowali mię po rękach i po nogach, dobyłem sakiewkę i dałem im jeszcze po złotówce; prawie płakali z radości. — Gdy trochę podjedli z wilczym apetytem — stójcie! rzekłem, — dość już jedzenia, wypijcie jeszcze po czarce wódki! — pochowali więc resztę za pazuchy, jakby najposłuszniejsze dzieci.

— No teraz, kiedyście się z Opatrzności boskiej pożywili, — rzekłem — powiedźcie mi bracia zkąd idziecie i gdzie dążycie biedni ludzie i jakiego jesteście stanu?

Jeden z nich za wszystkich mówił:

— Jesteśmy z drobnej poleskiej szlachty, idziemy z cudzyni (z obcych stron), bo lepsza w domu groch, kapusta, jak na wojnie kura tłusta, reszty się miłościwy pan domyśli, dążymy w swoje strony rodzinne, do których serce płacze a od radości skacze.

— Bóg z wami! — powiedziałem — bądźcie zdrowi! wskoczyłem do bryczki. Jeszcze mię po nogach siedzącego ucałowali.

— Szczęśliwa droga, niech Bóg szczęśliwie prowadzi! — były ich ostatnie głosy.

Ruszyłem w dalszą drogę, wyrzekłszy raz jeszcze do nich: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Wtem zobaczyłem, że mój poczciwy służący szlachciura Wincenty płacze.

— A to czego? — zapytałem.

— A to z radości panie, że pan taki miłosierny i dobry dla naszych braci, — i on nachylił się w kolana mię ucałował.

— Cóż było lepszego robić mój Wincenty. To nie ja, ale Opatrzność Boska to zrządziła i nad biedakami. A każdy tam ciągnie gdzie się ulęgnie.

---

wiadomość o odbytej w Strzelnie (dekanacie Kruszwickim) konferencij nauczycieli, zwołanej przez ks. dziekana Marten, z polecenia władzy świeckiej i duchownej. Sprawozdawca, podając niektóre szczegóły, ubolewa nad brakiem pisma pedagogicznego dodając, iż ono niczem się usprawiedliwić nie może, na co redakcja odpowiada trafnie — losem „Oświaty“, która prześladowaniu uledz musiała.

Gwiazdka cieszyńska donosi, iż na przekór towarzystwu rolniczemu cieszyńskiemu, niemieccy zapewne cywilizatorowie zamierzyli tu założyć filjalne nowe, zależące od opawskiego.— Dnia 8. Października zapowiadają pierwsze zgromadzenie, jeśli się uda pozyskać członków. Toż same stronnictwo, które „Nowiny Szlązkie“ wydawało, forytuje stowarzyszenie nowe.

Ostatnie numera „Orła“ amerykańsko-polskiego są z d. 25. Sierpnia i 1. Września. Przedewszystkiem ciekawy tu spis kolonistów, który się dalej ciągnie. Wydawnictwo „Orła“ mieści się teraz w kolonij polskiej, dotąd zwanej S. Gertrudy, a świeżo przemianowanej na Kraków. (Kraków. P. O. Franklin County. M. O.) Inny Craków znajduje się w Huron Cou. Michigan. Nowy kościół katolicki poświęcono w Chicago d. 14. Sierpnia. Dopełnił obrzędu jadący do Rzymu ks. proboszcz Bakanowski z P. Marij w Texas.

D. 12. (na 13.) zmarł po długich cierpieniach w Wiskowie pod Lesznem w Poznańskiem ś. p. Erazm Stablewski, znany w obywatelstwie i powszechnie szanowany. Nauki ukończył w Berlinie i Getyndze. Należał on do grona młodzieży, w której jaśnieli Gustaw Potworowski, Maciej Mielżyński, Tertuljan Koczorowski i Karol, brat zmarłego. Wspólnie oni pracowali około sprawy narodowej. Ś. p. Erazm miał dar wymowy, którym się odznaczał, często też występował publicznie. Pomagał hr. Edw. Raczyńskiemu do zebrania grawaminów, złożonych u tronu. Po r. 1848. posłował sześć lat na sejmy w pierwszej i drugiej Izbie zasiadając. Z mów zmarłego przywodzi parę charakterystycznych, natchnionych patriotyzmem, ustępów „Dz. poznański“. Ostatni raz żegnał zwłoki przyjaciela Gustawa Potworowskiego. Ostatnie lata dotknięty chorobą spędził usunąwszy się od spraw publicznych.

D. 12. Września zmarł we Lwowie O. Bernardin Thevenet, przełożony XX. Józefitów, w wieku lat 58.

Tamże d. 12. Cyryll Ulanicki z Wołynia, w r. 66 życia.

W Łukawicy, w Galicij, d. 20. Sierpnia Jan Bończa Osmólski, mając lat lat 70. Był on porucznikiem w pułku 4 ułanów polskich, a w r. 1831. kapitanem jazdy wołyńskiej, w r. 1848. adjutantem jen. Wybranowskiego przy gwardij narodowej we Lwowie.

D. 16. Września we Lwowie Fryder. Ludwik Pohlman, malarz dekorator teatralny mając !at 65.

W Warszawie d. 9. Września Jan Wolski, oficer inwalidów wojska polskiego, licząc lat 79.

Ze Sredzkiego piszą do „Dz. pozn.“, iż d. 15. Września odbył się pogrzeb czcigodnego Karola Karśnickiego z Mystek. — Obszerny dom jego, ani kościół nie mogły pomieścić mnóstwa osób, które przybyły oddać ostatnią posługę powszechnie poważanemu człowiekowi, skromnej a wielkiej zasługi obywatelskiej. — Cisnęli się wszyscy do niesienia trumny; czuć w wyrazach krótkiego wspomnienia łzy, które z serca wypłynęły. Poszanowanie cnoty i zasługi dobrém jest świadectwem dla społeczeństwa —, póki czci tej, póty nadziei odrodzenia.

Korrespondencye.

Listy Soborowe.

XXXV.

Rzym, 12. Września.

(γη̃.) List, który piszemy dziś do was, jest zapewne jednym z ostatnich, jakie wyjdą z Rzymu w tym tygodniu; jutro lub po jutrze bowiem będziemy wszyscy całkiem okrążeni przez wojsko włoskie i oblężenie wiecznego miasta rozpocznie się na kilka dni wcześniej niż oblężenie Paryża, który z innych względów jest także drugą świata głową. . . . Osobliwy zaprawdę los dwóch najsławniejszych stolic, przywiedzionych jednocześnie do tej ostateczności upadkiem Napoleona. . . .

Hr. Ponza di San Martino, senator królestwa włoskiego, przybył do Rzymu, jak donosiliśmy wam w ostatnim liście naszym, i przywiózł Ojcu Świętemu własnoręczne pismo Wiktora Emanuela w kształcie *ultimatum*. Pismo to poparte było przez sześćdziesiąt tysięcy wojska stojącego na granicy z ogromną artylerją polną i oblężniczą. Siły te nagromadzone zostały dla zgniecenia od razu doczesnej władzy papieży, dla zniszczenia jednym zamachem stopniowego dzieła Konstantego Wielkiego, Pepina, Karola Wielkiego i hrabiny Matyldy. Żołnierze mężnej Italji nie zmienili frontu od ostatniej wojny, w jakiej ich widziano: obróceni oni dotąd plecyma do pól Custozzy, a niebezpieczeństwo Francji po za Alpami położonej nie zdołało wywołać u nich zwrotu. Za to rozpędzili się wielkim lecz ostrożnym pędem w przeciwną stronę ku południowi. Jak psotne żaki kryjące się za płotem i oczekujące niecierpliwie, by ogrodnik wyszedł, skoro się dowiedzieli że Napoleona Prusacy wzięli do niewoli i że Francja w kłopocie wypędzić ich nie może, przeskakują płot z niewymownémi okrzykami radości i dalej na złote jabłka, co to niby wiszą na tej

---

Część II.

Nocleg za W. Smolanicą. — Bojowniki. — Polowanie na błotach. — Jagusia. — Przygotowanie polowania na wilki. — Gawędy: Niedźwiedzica, Wilkołak. — Polowanie królewskie na żubry. — Skutek polowania na wilki. — Nocleg pod puszczą Białowiezką i Gawędy.

Przestając nie jednokrotnie z drobną szlachtą, z témi czarnémi mieszkańcami leśnémi, nocując nieraz w ich chatach i w lesie, a zawsze wdając się w rozmowy, opowiem co mi się przed trzydziestą sześciu laty widzieć lub słyszeć zdarzyło, bo to praktycznie ich charaktery maluje.

Za błotami nad rzeką Jasiołdą, we wsi Smolanicy, pod lasem, nocowałem w chacie pobereżnika (strażnika) leśnego. — Za przebudzeniem się z rana, wszedł szlachciura mój gospodarz z workiem na plecach i wyrzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! i worek położył na ławie, spostrzegłem że się w nim coś ruszało.

— Co to jest? — zapytałem.

— Oto panoczku na pańskie szczęście, chcąc wypatrzyć, ze wschodem słońca, gdzie najwięcej jest kaczek i bekasów, zaraz z brzega między krzakami, na błotach zobaczyłem nadlatujace z jednej i drugiej strony bojowniki, bo to one się teraz parują (zbierają w pary), zaraz sobie pomyślałem, że się tu bez batalji nie obejdzie, a za to podobno nazywają się także batalionami. Hajże ja do chaty po worek, bo one panie jak się zaczną czubić, a głupsze i mniej ostrożne jak wróble, to tak się zaczubią, że ich nawet po parze można ręką brać i kłaść do worka. Akurat ich zastałem w dwóch szykach, to jest w dwóch nieregularnych i pomieszanych rzędach w najzaciętszej wojnie; wpadłem między nich z nienacka z po za krzaka, łap, cap, i oto ma panoczek sztuk dziewięć tych swawolników, a to już jest znak, że będzie szczęście i na kaczory i na bekasy!

Tém zadowolniony i wesoły wysypał to ptactwo z worka, każde było wielkości kurczaka z gładkim łebkiem, na proporcionalnych, jednak dość wysokich nogach, niezbyt wielkimi skrzydłami a każdy ptak innego koloru, co mię najwięcej dziwiło, pstrokate, jarzębate, ceglaste z odmianami, siwe, białawe z odmianami, a wszystkie jakby ogłupiałe, jakby obłaskawione i nie trzepotały się po chacie. Porznął on ich zaraz po napatrzeniu się mojem, bo mówił, że się niczem i w żaden sposób chować w domu nie mogą; mięso ich, choć pod wiosnę, na pieczyste jest wyborne, tak dobre jak z kulików. — Wypiwszy mleka z bułką, poszliśmy na błota, przepowiednia się ziściła; ubiliśmy dość kaczek i bekasów, ja nawet więcej jak mój towarzysz pobereżnik, ale za to ja kilka razy spudłowałem a on nie dał ani jednego pudła, bo też ci strzelcy bardzo

obiecanej ziemi.... Tylko przez tę *prudenza* i kawalerskość, które im są właściwe, przyswoili sobie krzyżacką taktyktę: posuwają się w dziesięciu na jednego, a lękając się jeszcze mikroskopijnej armji Ojca Świętego, ofiarowali wszystkim krajowym dowódzcom i żołnierzom wielkie summy, aby przeszli na ich stronę. Coż powiedzieć o państwie mającém 400,000 wojska a ofiarującém miljon jaki lub więcej pięciu czy sześciu tysiącom, aby broń złożyły?... My prostoduszni Polacy poczekalibyśmy aż głos krwi, aż patrjotyzm przemówi w sercu naszych ziomków, i niktby z nas nie pomyślał i nie pomyśli zapewne nigdy o przekupywaniu Polaków służących w moskiewskich lub pruskich szeregach, jeśli Bóg da, że się kiedy chorągiew nasza rozwinie w obec wrogów naszych. Sam widok tej chorągwi będziemy uważali za dostateczny. U panów południowców rzecz się ma inaczej: mają oni takie wyobrażenie o bezinteresowności, o honorze, o wojskowości, o religji, o obowiązkach względem Kościoła jak szewc o metafizyce, jak żandarm o poezji. Nawet nie stać ich na wstyd, z jakiego się loretki nie wyzuwają pozornie, i słyszysz włoskich liberałów cieszących się niewymownie, winszujących sobie i ściskających się wzajemnie za ręce przeto, iż rząd włoski niby przekupił krajowe wojsko papiezkie i że oporu nie będzie. Wątpić nie można, iż krajowe wojsko słysząc o takim cynizmie i wiedząc przytém, że mu w istocie pomimo wyniszczenia włoskiego skarbu brzęczące złoto ofiarowano, będzie się starało uniknąć w oczach Europy posądzenia, iż patrjotyzm pojmuje w ten sam sposób, co jego ziomkowie...*. Ale wracamy do hr. Ponza di San Martino.

Ten przybywszy do Rzymu d. 9. Września nie mógł tego samego dnia otrzymać posłuchania u Ojca Świętego. Widział się więc tylko z bratem swoim Ojcem Ponza di San Martino jezuitą, rektorem kolegium w Modragone koło Frascati i z jenerałem Towarzystwa O. Piotrem Beckxem. W wieczór zaś przyjęty był bardzo grzecznie przez kardynała Antonellego. Atoli ten ostatni unikał z nim rozmowy o misji, jaką włoski mąż stanu otrzymał był od swojego rządu i oświadczył mu, że odgadywać musi z góry odpowiedź, na jaką propozycje florenckiego gabinetu zasługują.

Nazajutrz rano o 11. godzinie poseł włoski wprowadzony był na pokoje Jego Świętobliwości. Pius IX. tłumiąc w sobie wstręt, jakim go napełniała osoba pana senatora wcale niezaszczytnie znanego, przyjął go spokojnie, niemal wesoło, ale z nadzwyczajną powagą. — Niewymowny majestat, jakim się łagodna i szlachetna postać Piusa IX. otaczać zwykła, nigdy nie był tak wybitnym, uczutym, promiennym jak w tej uroczystej chwili.

Ojciec Święty wziął z rąk hrabiego Ponza di San Martino list królewski, przełamał pieczęć z sabaudzkim krzyżem, tém starożytném krucjat godłem, rozłożył go zwolna i czytać począł, włożywszy okulary. W tém wypadł luźny arkusz z pisma. Poseł się schylił, podniósł go i podał Ojcu Świętemu. Był to dodatek do listu zawierający warunki zgody czyli raczej plan sąsiedztwa, wymyślonego przez księcia Napoleona. Papież podziękował posłowi i rzekł spokojnie: „O znam, znam zgóry te projekta, cała misja twoja wiadoma mi doskonale!“ Czytając list królewski i warunki, powtarzał kilkakrotnie: „Nie, nie, to nie może być, nigdy, nigdy!“

Dodać należy, iż król ofiarował Papieżowi Leonowe miasto, to jest część Rzymu, po tamtej stronie Tybru położoną. Tyber dzieliłby obie stolice Włoch, jednę świecką, drugą duchowną. Byłoby to coś nakształt Japonji. Do tej zatybrzańskiej dzielnicy przeniesionoby ryczałtem wszystkie zakłady i kongregacje duchowne tak jak meble do składu, gdzie się stoliki piętrzą na kanapach, a krzesła na stolikach. Papież mógłby sobie założyć komorę na moście św. Anioła; ale zazdrosne sąsiednie państwo spoglądając krzywém okiem na taką potęgę, wymagałoby jeszcze od niego zburzenia zamku św. Anioła, będącego groźbą dla Italji. Kiedy p. Ponza San Martino wspomniał mu o tym warunku, Pius IX. zawołał w uniesieniu: „Chcecie zburzyć nagrobek Adryana, który był uszanowany przez Gotów, Ostrogotów i Wandalów.... Wyście niby to Włosi, ale w rzeczy samej Wandale i gorsi od Wandalów!“

Zresztą w tym świetnym programmie o trzynastu rozdziałach zapewniano Ojcu Świętemu jak największą „swobodę“ duchowną i polityczną, listę cywilną, zachowanie dworu i straży honorowej z krajowców złożonej, bo cudzoziemcom rząd włoski odmawia prawa służenia Papieżowi; zostawionoby nawet klasztory w Rzymie i dobra kameralne czyli skarbowe, a osoba papiezka za pomocą organicznego prawa zostałaby ogłoszoną za świętą, jak osoba królewska, wszelki dziennik zaczepiający Ojca Świętego mógłby uledz processowi i t. d.

Ojciec Święty zauważył p. Ponza di San Martino, iż to, co go w tém wszystkiem oburza, nie jest łakomstwo, ale obłuda i machiawelizm ludzi, którzy chcąc go ogołocić, nie mają odwagi swoich czynów i uciekają się do nędznych kłamstw, dla pokrycia i ubarwienia w oczach Europy swoich gwałtów i nikczemności. Rzekł o ministrach włoskich iż są istném pokoleniem jaszczurczém, faryzeuszami i pobielanémi grobami.

Skarżył się, że król utracił całkiem uczucie honoru, jakie ożywiało z dawien dawna starożytny sabaudzki dom; iż napisał do niego bez uszanowania. „Odpiszę waszemu panu, dodał Pius IX., odpiszę tak jak przystało na Papieża i króla.“

Senator zaklinał Ojca Świętego, aby przyjął projekt królewski dla uniknienia gorszej klęski, błagał go w imieniu 24 miljonów Włochów: „Panie hrabio! zawołał Pius IX., powiedz cztery miljony, bo mogę ci zaręczyć, że dwadzieścia miljonów stoi ze mną.“

Dalej, gdy mu p. Ponza San Martino przemocą militarną groził, odparł, że jako monarcha winien zbrojną ręką odeprzeć niesprawiedliwy i niegodziwy najazd; a gdy poseł zaklinał go, aby nie dopuszczał krwi rozlewu i uniknął koniecznie takowego, Papież odpowiedział, że od króla zależało uniknąć go, wstrzymując się od niczém nie usprawiedliwionej napaści.

Gdy poseł odchodził już, Pius IX. powstawszy z siedzenia, rzekł doń uroczyście:

„Nie jestemci ani prorokiem, ani prorockim synem, ale powta-

---

szanują naboje strzelby i strzelają tylko na pewnika. Poberežnik był dalej na błotach ku W. Zababie a jeść mi się dobrze chciało i będąc bliżej, wcześniej zdążałem do chaty. — Podszedłem cicho, psów nie było, bo były z gospodarzem na błotach, zmęczony bardzo, usiadłem pod chatą na przysbie; drzwi były otwarte a w sieni przędła kądziołkę Jagusia, nadobna córka gospodarzy i śpiewała piosneczkę sielankę, którą podsłuchałem, a nutę i dwie tylko zwrotki do dziś dnia pamiętam:

Nasza dziewczyna robotną była,
Wzięła kądziołkę po wsi chodziła,
I przędzie — i mota —
Naszej to dziewczyny robota! —

Wzięła bębenek i skrzypowiska,
Pognała gąski na trzęsawiska,
Tam grała — bębniała —
Wul, wul, wul! na gąski wołała!

Głosek nadobnej Jagusi, i prostota piosenki, i ładna nuta podniosły mnie zmęczonego, wszedłem do sieni, dobre zdrowie! powiedziałem, odrzekła to samo Jagusia, uśmiechnęła się przyjemnie, pokazawszy z uśmiechem perłowe ząbki, jakby się niemi przechwalała, postawiłem dubeltówkę w kącie, ubite ptastwo zawiesiłem na kołku i usiadłem na ławie niedaleko Jagusi i zapomniałem, że mi się jeść chce, choć było ze trzy godziny po południu. Prosiłem Jagusi, aby mię nauczyła owej piosenki. — Ej! co tam panu potém i na co się zdało! — odpowiedziała, aż dopiero gdy mama z ogrodu nadeszła i kazała, ona prześpiewała ledwie owe dwie pierwsze zwrotki.

— A kto to układał tę piosenkę? — rzekłem.

— To panie jakiś Karpiński za Prużaną pod Puszczą a tam nieboszczyk dziaduś był poberažnikiem, więc się ponauczał od niego różnych takich piosenek, ale panie ze wszystkich co nas potém dziaduś pouczył, najładniejsza jest piosenka Laury i Filona.“*

Byłbym się może więcej nagadał, lecz wszedł ojciec z ubitem ptactwem a mama też zaprosiła do obiadu, w izbie przygotowanego, zjedliśmy oba ze smakiem i napili się szumiącego soku brzozowego, tymczasem konie moje zaprzężono. — Zabrawszy wszystko co moje, strzelbę i zwierzynę, dawszy strzelcowi sowite strzałowe, rzekłem do córki:

— Jedź ze mną Jagusiu do Sielca!

— A to po co? — z wdzięcznym uśmiechem odrzekła, — i nie wódź nas na pokuszenie! bo mi to tu źle u matuli?

* I póki tylko nasz język nie skona
Słyszeć głos będziem Laury i Filona.
(Wyrzekł Kazimierz Jaworski.)

rzam ci: nie wejdziecie nigdy do Rzymu, noga wasza nie postanie w wiecznem mieście.“

Nie wiemy czy Bóg zechce, aby się ta przepowiednia ziściła, ale wyznać należy, iż nie ma w tej chwili za sobą najmniejszego prawdopodobieństwa.

Powyższe szczegóły zostały mi udzielone przez prałata nadwornego Jego Świątobliwości, pełniącego służbę na watykańskich pokojach i możem bezwarunkowo wierzyć w ich dosłowność.

Tego samego dnia Ojciec Święty zwołał radę kardynałów i ułożono treść odpowiedzi Wiktorowi Emanuelowi. W liście tym Papież oświadcza krótko a dobitnie, iż przystać nie może na bardziej śmieszne jak niegodziwe propozycje, upomina króla, aby się opamiętał, i dodaje, że jeżeli chce uniknąć krwi rozlewu, powinien najpierwszy odstąpić od zbrodniczej myśli przywłaszczenia sobie gwałtem ostatka posiadłości Stolicy Apostolskiej.

List ten doręczony został nazajutrz przed 10-tą zrana hr. Ponza di San Martino, który opuścił Rzym o pół do jedenastej d. 11. września, to jest wczoraj.

Ojciec Święty życzył sobie zrazu, aby się broniono jedynie dla ocalenia honoru papiezkiego oręża i dowiedzenia w oczach świata, że Stolica Święta gwałt cierpi. — Ale to, czegośmy się lękali, stało się, to jest, iż cudzoziemskie stronnictwo przemogło i że postanowiono bronić się zacięcie, do upadłego. Mają tutaj przekonanie, że jeśli Rzym z parę tygodni wytrzyma, dyplomacja się wmięsza do tej sprawy i że nastąpi zmiana. Liczą po dawnemu na Prusy.

Rzym tedy będzie się bronił dopóki sił stanie. Wewnętrznego rokoszu zdają się wcale nie lękać, pomimo burzenia się rewolucyjnego stronnictwa. Tu ogromna czynność panuje: sypią szańce, robią okopy, wznoszą zasieki, zataczają działa i moździerze, gromadzą kule i bomby, zabijają bramy, z których siedm tylko zostanie otwartych. Jednak oszańcowane są zewsząd potężnie. Rzym ma sto kilkanaście dział do obrony, 14,000 bitnego wojska, bo wszystkie oddziały ściągają do Rzymu. Karabiny Remington sięgają o 150 metrów dalej niż włoskie. Pomimo to ostateczny rezultat walki niewątpliwy, gdyż Włosi staną dziś jutro w 60,000 pod Rzymem. Jednak nie będzie to tak łatwy orzech do zgryzienia jak im się wydaje, i bardzo być może iż dyplomacja po bezowocnym jakim szturmie będzie ofiarowała swoje pośrednictwo. — Ale rząd włoski z trudnością się cofnąć zdoła, owszem nie może się już cofnąć....

Wczoraj po południu wojska włoskie przekraczać zaczęły granicę. W ogóle mieszkańcy bardzo zimno je wszędzie przyjmują i nie dawajcie najmniejszej w tym względzie wiary urzędowym telegramom włoskim. Gdzie niegdzie większy się zapał objawia — ale jest to wyjątek jak dotąd, a obojętność w ogóle wszędzie panuje.

Rząd papiezki ciężko przypłaca swoje winy, dwudziestoletnie błędy swojego niczém nieusprawiedliwionego systemu. Wkrótce będzie on tylko pamiątką, cieniem na tej ziemi popiołów, na tej wielkiej kostnicy, na głębi tej urny, którą Niobe narodów, że wyrazów Byrona użyję, dzierży w dłoniach swoich. Jest coś ateli, co w tej chwili błędy te zasłania i zagłusza: jest to niczém niewytłumaczone i nieusprawiedliwione zuchwalstwo rządu, który zamiast zrozumieć wyjątkowe położenie Włoch w obec Kościoła i papieztwa, korzysta z obecnego roztargnienia Europy, rzuca się z bronią na najczcigodniejszego w świecie starca, na Namiestnika Bożego i rychtuje armaty do okien Watykanu. Gdyby jeszcze miał odwagę swoich czynów, byłoby to pół biedy; ale jej nie ma; ogląda się, skrada po cichu jak nocny złodziej, drży na każde silniejsze podniesienie głosu dyplomacji, chociaż ma ogromną materjalną siłę w ręku — przynajmniej liczebnie, na oko....

Zaiste system, jaki dziś w Rzymie panuje, zasłużył na ciężkie kary; ale po za témi nadużyciami, które można było sprostować inaczej, a w każdym razie przy zgonie Piusa IX., który doszedł już do takiej starości, wznosi się najdawniejsza i najczcigodniejsza instytucja, którą wszelki inny naród pielęgnowałby i liczył jako najdroższą puściznę przeszłości, jako największy narodowy skarb w łonie swoim. — Włochy zaś tę instytucję postanowiły obalić, chociaż nie jest ich wyłączną własnością. Działa kwestji rzymskiej nie rozstrzygną jednak, miecz nie przetnie tego gordyjskiego węzła.

Postać katolickiego Priama w tym oblężonym grodzie, osamotnionego, odbieżanego, bronionego przez garstkę tylko odważnych cudzoziemskich ochotników olbrzymieje w żelaznej obręczy, jaką go otoczono, i dorasta idealnej wysokości, do jakiej bohaterowie Homera nie wznieśli się nigdy. Jakiegoż to bezbożnika trzeba, aby sięgnąć po tę królewską koronę, nad którą wznoszą się dwie inne, pasterska i ojcowska! Należy uderzyć powszechnego Ojca i porazić Pasterza ludzkości całej, aby obalić ziemskiego króla.... Któż się ośmieli porwać na ten majestat tak pogodny i tak niezmierny, przed którym klękali kolejno uwieńczeni wawrzynem stu wygranych, okryci kurzawą stu pogromów, tryumfatorowie świata, sternicy zwycięztwa i historji, Konstanty Wielki, Karol Wielki, Henryk IV., Batory, Sobieski? Czyliż ten siwy włos króla nad królami nie lśni się jak srebrne pióra gołąbki pokoju i miłości i nie przejmuje dreszczem wyrodnych synów?... Bombardować Papieża na Watykanie, aby mu ziemskie wydrzeć berło, wkraczać zbrojną ręką w apostolskie progi, o nieba! o zgrozo! Wszak i narody powinny mieć uszanowanie jak pojedyńczy człowiek, albowiem po nad narodami jest Bóg! sędzia żywych i umarłych!

Dzięki o Boże mój! że naród nasz tak nieszczęśliwy i przygnębiony, nie należy do takich narodów, że historja nie powie o nim nigdy: „To ojcobójca!...“ Dla tego o Panie! dostąpi on miłosierdzia

Listy Pustelnika.

IV.

Czarne chorągwie powiewają na murach Paryża, wymownémi głosy odzywają się do narodu niemieckiego W. Hugo i E. Quinet,

---

zresztą co panicz to nie ja! a na co nam się bratać, gdy nie ma kto swatać! Pany do nas w swaty nie przyjdą a nasze biedaki szlachta nie przyjdą także bo nie zechcą.

— Jużcić ona dobrze mówi! — dodała matka, a pocichu mi do ucha rzekła: — Nie zda się baran kozie i kaczka nie chce kruka! — ale to pocichu wszyscy słyszeli i wszyscyśmy się śmiali przyjaźnie.

— A kiedy tu znowu panoczek będzie? — jednak naiwnie zapytała się Jagusia.

Prędko odpowiedziałem:

— Jak tatko mi batalionów nałapie, bo będzie szczęście i na kaczki i na bekasy, gdy do Jagusi nie mam szczęścia, nawet jakeśmy wychodzili na błota, to mi na szczęście i kolanka pokazać nie chciała.

— Ej, bo też to daleko kusomu do zajcia! — z chłopska śmiejąc się odrzekła matka.

Kontenci z mojej gościny, wszyscy wyprowadzili mię do bryczki na podwórze i mile pożegnali wsiadającego; najgłośniej pożegnała mię Jagusia wyrażeniem: „Szczęśliwa droga!“

Nadleśny lasów Sieleckich P. O. nie był ani dobrym strzelcem, ani myśliwym, a w brzegach tych lasów i w krzakach między błotami było dwa gniazda wilków, i okoliczni obywatele zmówili się na polowanie na jeden dzień, termin zaś oznaczony był bardzo krótki. Cóż było robić w braku dowódzcy? wziąłem na siebie trudności w dośledzeniu gdzie mianowicie w którym punkcie znajdują wilki, jaką obrać pozycją do rozstawienia i ruszenia obławy, gdzie postawić strzelców. Wziąwszy więc z sobą trzech szlachciurów, z których jeden umiał wabić a drudzy konni potrzebni byli na posyłki, a wszyscy ze straży leśnej pojechaliśmy w las i po zachodzie słońca stanęliśmy po obejrzeniu wagi lasu na prześlicznej łące już przed kilkoma tygodniami pokoszonej, rozniecili i rozłożyli ogień, bo trzeba było czekać pory zawabienia, to jest do samego świtania, gdy stare wilki żerujące z pola wracać zwykły ze zdobyczą na karm swych dzieci. — Ażeby już nie spać potraktowawszy towarzyszów czareczką dobrej wódki i zakąską z wędliny, zobowiązałem ich do opowiadania o dawnych czasach. —

Jeden z nich rzekł:

— Ta łąka panoczku, jak pan widzi, była w dożywotnim posiadaniu mojego dziada, który wysłużył się pokojowo u księcia Radziwiłła a potém został leśnym strażnikiem. Majątek ten bowiem był niegdyś Radziwiłłowski, potém przeszedł do Sapiehów a teraz niedawno do Zamojskich wniesiony posagiem przez księżniczkę Anielę Sapieżankę. Ta łąka nie była tak odkryta i otaczały ją ogromne lasy, w których było dość grubego źwierza; były żubry i niedźwiedzie, które teraz tylko puszczę Białowiezką za stolicę sobie obrały, i było co

ale odezwy te szyderski wita uśmiech, a co gorzej, uważane są za demoralizujące i prawie zakazane. Niewiele dzienników ośmieliło się je powtórzyć, bo wojna ta ogłoszona za patriotyczną, narodową, jest — jak każdy podobny wysiłek — despotyczną i nie cierpi najmniejszego sprzeciwienia.

Niemcy powtarzają do syta, że **grrrande Nation** teraz, to oni. Być bardzo może, ale czyż jeden tylko ma być naród wielki i czy się wielkości tej dorabia wojną, która wyższych celów i idei niema za sobą? Egoizmem najpatriotyczniejszym nie buduje się wielkość narodu, a nie potrzebujemy przypominać że co innego jest wielkość a co innego potęga. Francji rola urosła z poświęceń dla idei, które weszły w ogólną spuściznę ludzkości, chcąc ją odziedziczyć coś więcej na sztandarze zapisać potrzeba, niż jedność Niemiec, coś więcej nad ideę państwa. Dla szczęścia ogólnego państwa, uciski nie są niezbędnie koniecznémi, najzasłużeńsza dla kultury ogólnej Grecja, składała się z małych kraików. Podboje tworzą masy posłuszne, ale cywilizacyjną pracę swobodną tamują. Postępu pewniejszém narzędziem są małe grupy związanych z sobą kraików, niż militarne i podbójcze kolosy. Tych Opatrzność zwykła używać jak taranów do tłuczenia murów, a nie do pracy dla przyszłości. Rozbijają one w gruzy, z których na nowo budują mali. — Ale wszelkie te prawdy w Niemczech znane i rozpowszechnione przez znakomitych pisarzy, dziś w ogniu ogólnego rozżarzenia spłonęły, stopiły się, znikły. Nie mamy żadnych uprzedzeń średniowiecznych, ani nienawiści plemiennych, serce pustelnicze bije zarówno dla przyjaciół i wrogów życzliwością i pobłażaniem braterskiem, musiemy wszakże studjować fenomena, badać położenie, sondować dzieje ducha. Z tego powodu niepokoi nas to ubieganie się za siłą bez wskazania jej celu, bez oznaczenia jej użytku, z ciągłem upominaniem się o ofiary dla niej, bez widomej nagrody za nie. Ostatecznie cóż zjednoczone Niemcy uczynią dla świata?... Obiecują kulturę — wyraz, który dotąd oznacza to, czego ściślej określić niepodobna, jeśli tej kultury wypadkiem mają być wojny, jak teraźniejsza?...

Dziś wszakże o niczém rozprawiać niepodobna — roznamiętnienie odbiera przytomność, władzę, rozumowanie, chłód rozwagi. — Ludzie nawykli bić czołem szczęściu, tłumaczą sobie wszystko na najlepsze... nastąpi wiek złoty.... Porządek społeczny wróci, socjalne nurtowania zostaną ukrócone, liberalizmowi nałożą wędzidła, prawa dynastyczne będą przyznane, ludzkość wejdzie w stare koleje, wychowanie oddadzą duchownym, administrację policji... parlamentom wolno będzie wotować podatki, i wszystko pójdzie jak najgładziej, wedle dawnych formuł i prawideł. — Inni ludzie spodziewają się znowu że Niemcy wielkiemi ofiary okupią wielką swobodę, konstytucyjne rządy i t. p. Inni... każdy marzy o tém co ma na myśli.... Przez to wszystko jednak przegląda najwyraziściej jedna *idee fixe*, panowania niemieckiego w Europie. Nie wypowiada się wszakże jaka idea będzie jego podstawą, a przedewszystkiem najliberalniejsi nie tają się, że tego co chcą mieć dla siebie, drugim przyznać nie myślą. Zjednoczenie narodowości niemieckiej — bardzo dobrze, ale innym odmawia się prawa do życia, one nie są *kulturfähig*, więc im zniszczenie i wytępienie należy. Przyznam się, że z taką ideą trudno mi sobie wyobrazić *une grande Nation!*

Z marzeniami témi potęgi łączy się równie namiętna i do najwyższego stopnia wyegzaltowana nienawiść, niechęć, eksasperacja przeciwko Francji, którą dzienniki malują w zawody jako naród upadły, zepsuty, jako Greków *du bas empire*, których rola cywilizatorska jest skończona. Ani się kto chce zastanowić jak w powszedniem nawet życiu narodu tego język, literatura, płody przemysłu, mody nawet wielkie dotąd miejsce zajmują, jak wiele by tym co to głoszą zabrakło, gdyby im wszystko francuzkie odebrać. Ten wpływ Francji nieznaczny na pozór nawet w powszednim języku niemieckim ogromne porobiłby szczerby, gdyby się wszystkiego pożyczonego wyrzec chciano.

Jest rzeczą niewątpliwą, że Niemcy w świecie nauki, przemysłu, w pracach ducha oddali wielkie ludzkości przysługi, ani im kto może tego zaprzeczyć, ale narody także z woli Bożej mają sobie wyznaczony podział pracy. Niemcy tak samo nie zastąpią Francji, jak Francja nie potrafiłaby nigdy wypełnić ubytku Niemiec.

Tego właśnie przy zaślepieniu dzisiejszém nikt dziś widzieć nie chce. Prawda jest też niewątpliwą, że narody są śmiertelne jak ludzie, że gdy raz posłannictwo ich spełnione, wyczerpane życia siły i one umierają, roztapiając się w innych, których posłannictwa Opatrzność naznaczyła godzinę.... Nie sądziemy wszakże by Francja była wyczerpaną, upadłą i żeby kto po niej zdołał przejąć spuściznę rycerstwa Bożego.

Niemcy dotąd walczą w imie realizmu, interesu, a nie w imie idei lub ideału, dla tego misja ich raczej za przygotowawczą, ścielącą drogi innej, niż za stanowczo wpływową uważać się może. Wszystkie w dziejach ludzkości są ważne i pożyteczne, ta którą w obecnej chwili spełniają, czyni je raczej narzędziem bezwiedném, niż świadomym losów ludzkości wodzem. — Jest coś w naturze tego pochodu miljonowego, gwałtownego, łamiącego wszystkie zapory, głuchego na głos ofiar i jęki, co go czyni jakby kataklyzmem jakimś kosmicznym a nie wojną wielkiego godła i hasła. Wytłumaczyć sobie trudno to inaczej jak jakimś potopem lub wulkanu wybuchem, którego tajemnicę wie sam Bóg tylko. — Bądź co bądź, — rzeczą jest pewną, że zjednoczenie Niemiec dokonane, że potęga Francji złamana, że urok jej odjęty, że wyszedłszy obronną ręką, Francja jutro już nie będzie już Francją wczorajszą. Żałobą okryte wszystko, a nim powróci wiara w siły — nim się podźwignie duch upadły, nim na ruinach wsi i miast wyrosną grody, nim zniszczone drogi, wyczerpane skarby, rozbici ludzie powrócą— długie lata upłyną....

Francja pada ofiarą jednej idei fałszywej, że instytucje a mianowicie instytucje szeroko liberalne niezbędnémi są dla postępu i rozwoju ludzkości. Tych idealnych instytucij i praw dobijając się, rozbiła o anarchję, o dyktatury, o samorządy jednostek i absolutyzmy marzycieli. Nie chciała tego widzieć, że pomyślność i postęp narodu, że jego swobody leżą w wykształceniu jednostek, w podniesieniu in-

---

niemiara łosi i dzików. Dziadek mój za młodych lat był wojskowym a służył w kawalerji, wojował tam gdzieś na Ukrainie obok księcia Radziwiłła, podobał się i potém został pokojowcem a nazywano go jak mnie Wąsowiczem, a tylko książe nazywał go Wąsaczem, bo też miał ogromne wąsy, a pod starość lat zaraz po pierwszym rozbiorze Polski, tu pod lasem niedaleko obsiadł, miał dożywotni pajok (płacę), kawał ornej ziemi na dożywocie ot i tę łąkę i własną pasiekę, z której mu się dobrze powodziło i był sobie pracowitym gospodarzem w polu i w lesie. Jednego razu, gdy sobie w noc księżycową czy jak mówią miesięczną na tej łące pod kopicą siana zanocował, posłyszał szum, trzask po lesie, wypadł raptem niedźwiedź i zatrzymał się przy łomowisku z pooczyszczenia łąki na kupę zebranym, a za nim wypadło kilka wilków; schwycił niedźwiedź za helaka (t. j. gałęź z łomowiska) i dalejże się oganiać wilkom, ale nie mógł sobie dać rady, hajda na kopicę siana z helakiem, a ta kopica była niedaleko tej, pod którą leżał dziadek, myślał więc niedźwiedź że tam będzie bezpieczniejszy od napastników; zrzucał im jakby dla zabawki kłakami siano i nieco odpoczął. — Dziadek nie był tchórzem podszyty a strzelał jak to mówią choć w oko. — Przeżegnał się i do niedźwiedzia wypalił, który skocił się (stoczył się) z kopicy i zachrapał a dziadek wyciągnąwszy z za pasa siekierę dalejże w nogi i wskoczył między jezuicką sosnę; wilki zaś myśląc że to niedźwiedź wystrzelił, w tył podały ogony i na wszystkie cztery nogi galopem w las pouciekały. — Posiedział dziadek na pniu jezuickiej sosny z godzinę lub więcej a potém też pomaleńku, pomaleńku wyniósł się ztamtąd i przybieżał do chaty, nie ze strachu ale na wszelki przypadek po drugi nabój do strzelby, bo miał na łące tylko jeden. Ojciec zaś mój i matka nastraszyli się domyślając, że jakieś licho starego z łąki zegnało. — Dziad i ojciec opatrzyli i ponabijali strzelby. Dziad wypił półgarncówkę miodu na Valetę, który zawsze sam sycił w domu, i przededniem ruszyli oba na łąkę, zobaczyć jak się miewa marucha. Gdzie tam! gdzie tam! — marucha leżała jak długa, bez duchu i przez chłodny ranek nawet już stężała. — Wóz był na łące, złożyli maruchę na wóz z trudnością, bo była ogromna bestja! Ojciec pośpieszył do chaty za wołami, przyprowadził do woza, zaprzągł i oba z dziadkiem z triumfem przywieźli onę bestję do chaty.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

dywiduów, w moralizowaniu człowieka, który z najgorszemi i najcieśniejszemi instytucjami zżyć się może, gdy nad nie jest duchowo wyższym, a przeciwnie najliberalniejsze instytucje będą martwe lub niebezpieczne, gdy do nich niedorośli ludzie — Burboni, Orleanowie, Rzeczpospolita a naostatku Napoleonidy, i zawsze narodowi do życia brakło czegoś zewnątrz niego, gdy tego co mu niedostawało wewnątrz siebie szukać był powinien. Społeczeństwo winy składało na rząd i zmieniało rządy, gdy grzech w niém samém twił i przyczyna słabości w niem była.

Nie ma najgorszych praw, którychby wykształcona i uszlachetniona społeczność nie rozparła, nie sparaliżowała w ostatku siłą ducha, jeśli ją ma. Słabości jej oznaką już jest, jeśli się domaga, aby to co własną pracą winna dokonać, przyszło jej od idealnych instytucji. — Najdzielniejszym pomocnikiem postępu jest nieochybnie swoboda nadana narodowi już na tym stopniu wykształcenia stojącemu, że jej użyć umie, ale nie wahamy się twierdzić, iż nawet bez całkowitej swobody wielki naród pracować może i stopniami ją zdobyć, bez przewrotów gwałtownych, bo nie ma rządu któryby się potrafił oprzeć prądowi idei pewnego stopnia dojrzałości doszłych. Francja od 1789 opanowana była tą ideą radykalnie oddziaływać mających na naród instytucij, walczyła o nie i — wywalczyła ostatnie cesarstwo, którego słabość najlepiej dowiódł upadek.

Z wielu też mrzonek i utopij uleczy ta katastrofa okropna, która wszystkie rany, niedostatki, braki społeczeństwa i wszystkie jego szlachetne zasoby na jaw wyciągnie. — Więcej obawiamy się moralnych skutków zwycięztwa dla tryumfatorów, niżeli chwilowego upadku dla zwyciężonych.

— *X. X.*

O delegacji Sejmu galicyjskiego do Rady Państwa we Wiedniu r. 1869|70.

(Obacz Tygodnia Nr. 17. str. 156, Nr. 22. str. 210, Nr. 32. str. 316 i Nr. 33. str. 325.)

IV.*

Lwów, 12. Września 1870.

Jeszcze przed rozpoczęciem dyskusji adresowej d. 17. Stycznia zapadła w Izbie uchwała, aby według zwyczajów parlamentarnych, jakoteż w myśl przepisów regulaminowych odesłać rezolucję galicyjską do osobnej komisji. Ta komisja mająca się składać z 24 członków, otrzymała już polecenie ułożyć projekt do ustawy, którąby załatwiała żądania Polaków, przez zaprowadzenie odpowiednych zmian w dotychczasowej konstytucji. W związku z tém poleceniem zgodzono się, aby także inne kwestje, dążące do zmiany lub poprawy konstytucji należały do jej zakresu. Miano tu przedewszystkiem na oku kwestję bezpośrednich, powszechnych wyborów do Rady Państwa poruszoną już w memorjale większości ministrów, niemniej też agitowaną na zgromadzeniach, bądź ludowych, bądź wyborczych w prowincjach niemieckich. Tym sposobem przeniósł się do onej komisji punkt ciężkości wszystkich spraw, powszechnego ustroju monarchji dotyczących, a mianowicie także naszej sprawy, sprawy rezolucyjnej.

Wybór członków komisji przyszedł do skutku dopiero po ukończeniu rozpraw nad adresem, 29. Stycznia. Weszli do niej z delegatów naszych, prócz Grocholskiego i Kraińskiego, którzy już do komisji adresowej należeli, także Zyblikiewicz i Czerkawski, a weszli za uchwałą koła polskiego; bo tyle wyrozumiałości mieli Niemcy dla delegacji polskiej zwykle przy wyborach do rozmaitych komisji, że postanowiwszy między sobą liczbę członków polskich, do każdej z nich wejść mających, jej pozostawiali oznaczenie samychże osób, na które następnie sami także głosowali. Tym równie sposobem utworzona komisja rezolucyjna, nie przystąpiła wręcz do obrad nad kwestyjami jej przekazanemi; lecz postanowiła czekać najpierw rezultatu przesilenia ministerjalnego, by nowo złożony gabinet, wyłuszczywszy w Izbie swój programmat polityczny w ogóle, na komisyjném zebraniu nakreślił stanowisko, jakieby zająć zamierzał w obec galicyjskiej rezolucji. Zdawało się, że po takiej manifestacji Rządu, w tym razie niezbędnej, znacznie uprości się droga rokowań, ile że większość Rady Państwa zawsze iść była zwykła za Rządem, który wyszedł z jej łona; a teraz także wszelkie potemu było prawdopodobieństwo, że ona wyłącznie do jego nowego składu potrzebnego dostarczać będzie materjału.

Dnia 3. Lutego wystąpił nareszcie p. Hasner, co był za dawnego gabinetu ministrem oświecenia, jako naczelnik nowego ministerstwa w Radzie Państwa i przedstawił je zgromadzeniu. Mówiono rozmaicie o powodach, z których on właśnie powołany został na godność prezydenta gabinetu, gdyż ani przewaga umysłowa, jak się następnie pokazało, ani charakter polityczny nie dawały mu do tego prawa. — Jedni głosili, że szlachecki przydomek „von Artha“ będący własnością jednej z najdawniejszych rodzin niemiecko-czeskich, wyjednał mu w oczach dworu to pierwszeństwo przed innymi członkami gabinetu zwykłego pochodzenia; inni twierdzili, że wybór jego był rezultatem wzajemnej zawiści i osobistych ambicji dwóch najznakomitszych byłego i teraźniejszego ministerstwa pp. Giskry i Herbsta. Jeden i drugi niechętném byłby patrzył okiem, gdyby był widział wywyższonego swojego współzawodnika; obaj więc pracowali usilnie nad tém, aby sobie wzajemnie uniemożebnić dojście do prezydentury; ztąd zaś pójść miało, że się wspólnie przyczynili do wyniesienia człowieka nie wyrównywającego temu zadaniu, który atoli, może właśnie dla tego, żadnemu z nich nie zdawał się być nader niebezpiecznym. Czy jedna czy druga wersja była prawdziwszą, obie świadczyły o głębokiej zgniliźnie, jaka już z góry toczyła wnętrze ledwie utworzonego gabinetu, o zarodach rychłego rozkładu; możebność zaś podobnych pogłosek cechowała dostatecznie panujące względem dokonanych zmian usposobienie mniemania publicznego. Jakoż nie był także nader szczęśliwym dobór członków nowych, którzy mieli zająć miejsca opróżnione po ustąpieniu opozycyjnej trójki ministerjalnej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

* Artykuł ostatni.

Nowe Książki.

Z po nad mogił. (Poezye). Drezno 1870 r. 191 str.

Gdy się czasem trafi jesienią, że jabłonie i akacje ciepłem słońcem rozgrzane zakwitną, schodzą się ludzie patrzeć na to ciekawe zjawisko, a kwiatki podają sobie zdumieni tém, że mają i barwę i zapach wiosenne.

Nasz teraźniejszy czas jeśli nie zimą dla poezij, przynajmniej jesienią nazwać się może, a ten mogilny kwiat, który się dobył mimo chłodu ogólnego, budzi niemal to samo zdziwienie, co akacja bielejąca w Październiku. A nie jest on pospolity, biedny, mdły i słabiuchny — ale — co dziwna — bujny i zaprawdę niepospolitej woni i kształtu. — Wśród ogólnego milczenia, którem wita teraźniejsza publika wszystko, co na świat przychodzi, dwa pisma, P r z e g l ą d p o l s k i, w którym o poezjach tych pisał p. J. Szujski i odcinek K r a j u ozwał się o nich nader pochlebnie.

Są to poezije szczególnie uderzające artystyczną formą przedziwną, i dowodzące w twórcy znakomitego, oryginalnego artysty. Nie każdemu zapewne przypadną do smaku, ani delikatniejszym podniebieniom, do słodkich ogólników nawykłym, podobać się mogą. — Znamienita w nich siła, a narzędziem język stary najpochopniejszy by był jej wyrazem. Znać w poecie surowe studia, łamanie się i szukanie nowego kształtu, któryby jego duchowi odpowiadał.

Z tego już względu, że trzebią nową drogę, utwory te lekko być wzięte nie mogą. Rodzi się przy czytaniu ich w umyśle kwestyj wiele i wrażeń wiele nowych a dojmujących czytelnika.

Fizijognomija artysty w nich przedstawia się dziwnie posępna, uroczysta, poważna i własna swoja. Niepodobien do nikogo, sobą jest, jakim go natura i wrodzony talent uczyniły, ani się lęka być tém, choćby się wielu przypodobać nie miał. Czujemy to, że pisał gwoli wewnętrznemu zadaniu ducha nie dla tłumu... że mu nie szło o oklaski niczyje, ale o wyrobienie wątku, który snuł z krwawego potu własnych myśli — ani, uchowaj Boże, oryginalność to chorobliwa, jak u biednego Norwida, nierówna i wymęczona, czuć w niej, że nie stworzył jej poeta, ale ją w sobie miał, a wylał z troską tylko, by jak najgodniej na świat się ukazała. W większej części poezij temata są niepowszednie, a forma też zupełnie nowa i wielce wypracowana. Jedno z drugiém zrasta się zdrowo i idzie w parze. Język też jakby skąpany w szesnastego wieku łaźni, odmłodzony starością, kunsztownie zmartwychwstały dla myśli, która teraźniejszych czasów nie tyka, a puszcza się po nad mogiły przeszłości, bo by w atmosferze naszej nie wyżyła.

Wbrew powszechnemu liryzmowi epoki tu epiczny element panuje, ani się gdziekolwiek inaczej serce poety odsłania, jak w ujęciu przedmiotu i misterném jego wydłutowaniu. Wyjątkiem jest wstępny wiersz, jakby westchnienie ku sferom pokoju, z których świat pojętniejszym śmiertelnemu wydałby się oku.

O! do mnie lutni, strojna w twarde liście
Skręconych wiekiem dębu latorośli;
Niech duchy ojców, co jak on wyniośli,
Laur i oliwny cichy krzew przerośli,
Ż e l a z n e j m o w y dadzą dźwięk lutniście.

Tém słowem żelazném żelazne też dzieje opiewa pieśniarz, niby stary rapsodów twórca. Na początku idą Żale Jeffity, biblijnej treści poemat, niby do oratorium stworzony... smutna historja dziewicy, która opłakawszy żywot swój krótki... wróciła ojcowskiej przysięgi paść ofiarą dla Boga. Tragiczny i wielki nastrój tego poematu już·nam zapowiada dalsze pieśni. — Idzie za nim główny w tym zbiorze, dawniej już znany i przyjęty przez czytelników z uznaniem znakomitego talentu — Termopyle. — Drukowano go niegdyś, jeśli się nie mylemy, w dodatku do Czasu, a była to naówczas próba młodzieńcza, ale już dojrzała. Dziś jeszcze góruje ona siłą i kunsztem i całością spójną i wykonaniem miłości pełném, po nad wszystkiemi rapsodami, które po niej idą. Świat grecki pojęty i odwzorowany nie na sposób klassyczny a suchy, ale z dolaniem weń nowego i prawdziwego życia.

Tém się i inne poezje na tle starożytném odznaczają, iż wybiły się z mdłego naśladownictwa, ująwszy przedmiot, który ku niemu najbardziej skłaniał. Jest to nie blady oddźwięk pieśni konających echem powtarzaném lat tysiące, ale nowo zaczerpnięty śpiew u zdroju, co starym dał natchnienie. Termopylscy bohaterowie, szczególniej perski król ów, tak majestatycznie i szerokiemi rysy narysowany — powstają nie z naśladowania malatur wypłowiałych, ale jakby z poetycznego widzenia przeszłości. Siła też tu i życie wielkie.

Do zbytku może podobien pierwszemu jest poemat — Pod Kannami, znowu on bój straszliwy na śmierć, wyśpiewany z bezlitosną prawdą szczegółów krwawych.

W Rzymie strach srogi możnym stał się panem.
Tu owdzie matka, z licem pomięszaném
Niemowlę tuląc, na okropną górę
Pogląda skrzepła. — Gdy zakwili które
Pokarmu łaknąc — ona, strachem blada:
— Milcz, bo cię porwie Hannibal — powiada.
O matko Rzymska! czyż to rzeczy latwe?
Gdzie kto nakarmił strachem rzymską dziatwę?
Spojrz tam — a przyznasz: jak to krew nie kłamie —
Ten mały Scypion myśli już o Zamie —

Następujące pieśni: Jako Julian Zaprzaniec zabit od pana. — Psie pole. — Król Smiały. — Wiano królewnej. — Jako król Henricus jeszcze chyżej bieżał precz z Polski niżeli do niej był jechał. — Duma o Samuelu Koreckim. — Jako król Sobek przegrawszy doma, wygrał pod Wiedniem i Zaślubiny Św. Katarzyny na końcu są krótszemi co do rozmiarów, a równie wydłutowanemi misternie, jak Termopyle i Kanny. — Kilka z nich świecą tu jak istne klejnoty, kilka z nich humorem niepospolitym się odznaczają, a humorowi język archniczny dobrze posługuje. Zaślubiny św. Katarzyny to znowu poemat jakby do muzyki, do oratorjum stworzony, a namaszczenia i polotu mu nie braknie. — Kończy go pieśń lutnisty na ziemi, wzywającego opieki Św. Katarzyny:

Miarkuj każdy lot mój śmiały
Tęschném piersi tchnieniem —
Daj mym piersiom, by się stały,
Na pociechę Pańskiej chwały,
Duszy mej zbawieniem.

Prócz dumy o Koreckim, która przypomina klassyczne dumy z czasów Niemcewicza, acz o wiele od nich jest jędrniejszą, śpiewy inne mają formę swą własną. Na próbę oto, jak król Henricus nam tu wygląda — bardzo trafnie z wizerunku niby współczesnego wzięty.

Tedy z za morza, czarci wiedzą po co,
W pudełku szklanném, co je zwą karocą,
Wiodą paniątko. — Istna lalka z wosku!
Cienki, opięty, kusy po czartowsku.
Pachnący mydłem, aż w nos człeku bije:
Kolczyki w uszach, kołnierzyk u szyje,
Rączka do haftu, twarzyczka różowa...
— Tfu! do pioruna! czy zaś białogłowa
Na króla Polsce...

Inaczej wcale król Sobek znowu z natury odrysowan, gdy powraca z Wiednia;

...Z Polski, z kądeśmy ściągali,
Przyszliśmy syci, z miną gęstą, cali;
Wracamy ranni, głodni i obdarci...
Żegnam mój panie, niech cię porwą czarci. —
I myślał idąc. — Dobrze mi. — Nie chciałem
Nosić miecz chwały przed królem Michałem,
Co był i szlachcic, i szedł z rodu Piasta;
Więc mnie dziś za nos wodzi mdła niewiasta.
Ale tym sztuczkom będzie wreszcie *satis*,
Takie jej wytnę *verba veritatis*...
Za mym powrotem, że spazmów dostanie...
A ja... nic na to. — U mnie tak, mospanie.

Kiedy już wjeżdżał w bramy Willanowa,
Patrzy, aż żonę strasznie boli głowa.
W tém ta królowa wielce słabowita:
— Jak się masz serce? słabym głosem pyta.
Na to jej ostro król strapiony srodze —
— Ha! mam się zpyszna, tak jak groch przy drodze. —
— Fe! brzydki wyraz, rzekła słowem miłém.
Król stracił rezon. — Jak chciałaś, zrobiłem.
Kazałaś bronić Wiednia — Wiedeń oto
Swobodny. — Chciałaś, bym się bił z ochotą,
Nie oszczędzałem ni głowy, ni piersi,
Na to mu rzekła Marysienka — Merci.

Dodajmy, że jakkolwiek humor jest często szczęśliwy, przystało poecie lepiej śpiewać bohaterów i boje. W tych obrazach walk jest istotnie potężnym i, można powiedzieć, niedorównanym, tak umie nam żywo a gorąco straszne walki dawne, w całej okropności ich malować. Kaulbachowskie to kartony...

Dr. Omega.

Rozmaitości.

— **Książe Radziwiłł**, który, jako duchowny, znajdował się dobrowolnie przy wojsku pruskiém i wzięty był w niewolę, przebywszy czas jakiś w Metz, po przekonaniu się o tożsamości osoby, został uwolniony. Ogłosił on w Krzyżowej Gazecie opowiadanie o swej niewoli, które nasze dzienniki powtórzyły. „Czas“ z tego powodu słusznie się oburza na dziwną niekonsekwencję z jaką książe Polaków zowie rodakami a Prusy ojczyzną.

— **Z pewnego źródła dowiadujemy się**, iż wkrótce ma wyjść z pod prasy jeden z najważniejszych dla naszego języka zabytków, który dotąd częściowo był tylko znany. Winni będziemy to ogłoszenie pracy prof. A. Małeckiego, a staraniu i nakładom księcia Jerzego Lubomirskiego, kuratora zakładu Ossolińskich. Jest to biblia polska z XV. wieku, prawdopodobnie ostatniej żony Jagiełły, królowej Zofij, zachowana na Węgrzech w Szarosz-Patak. Ułamkowo ogłoszona, znana niedostatecznie, dla badaczów języka polskiego będzie skarbem nieocenionym. Imię wydawcy najlepszą jest rękojmią starania, z jakiém to wydanie będzie dokonane.

— **Dnia 16. Września** otwartą została w Warszawie wystawa płodów rolniczych, w pierwszym dniu wnijście po dwa złote, następnych po 40 groszy pol. Komitet rozesłał bilety bezpłatne dla szkół, aby młodzież z nauczycielami zwiedzić ją mogła.

Katalog obejmuje 2300 okazów z różnych gałęzi przemysłu rolnego. Liczba wystawców nie przechodzi 230. W ogóle udział był mały, a włościan prawie żaden. „Tygodn. rom. i powieści“ wzmiankując o niej, nastaje słusznie na to, że włościan nie dosyć zachęcano i ułatwiono im wysyłkę. — „Przegląd tygodniowy“ radzi urządzenie cząstkowych wystaw w miastach wojewódzkich i zachętę z pomocą nagród.

— **Gazeta Rolnicza Warszawska** donosi, że projekt połączenia Lublina ze Lwowem przez Tomaszów, Żółkiew, Rawę Ruską i Narol znowu wzięto na uwagę i do studiów.

— **Gazeta Rolnicza Warszawska** daje wizerunek niedawno zmarłej autorki, znanej pod imieniem Zofij z Brzozówki i wiadomość o jej życiu. Urodzona w r. 1812 w Furmaniszkach, w dawném wdztwie Trockiém z ojca Franciszka Chłopickiego, podkomorzego Kowieńskiego, i Zofij Miłejkowny, wychowanie otrzymała arystokratyczne ze wszelkiemi jego zaletami i wadami. Wydana za mąż, przeciwko swej woli, za Desztrunga, zerwała ten związek i wyszła później za Napoleona Klimańskiego, dla którego była najczulszą żoną. — P. Zofija Klimańska była długo korespondentką Gazety Rolniczej.

— **Kraj** ogłosił ofiarę składkową dla siostry Francij, na dowód żywy braterstwa i współczucia. — Zbierają nawet po jednym cencie, ale płyną już i znaczniejsze ofiary. W chwili gdy cały zepsuty i znikczemniały świat we wszystkiém bałwochwalczo kłania się potędze i czci siłę, my moglibyśmy, wierni tradycjom, dowieść, że nie idziemy za prądem wieku, a spełniamy przykazanie Chrystusowe, miłosierdzia dla słabych i opuszczonych. Nie idzie o pomoc Francij, bośmy ubodzy, ale o grosz wdowi dla poświadczenia przekonań naszych.

— **P. Lindau**, który widział Napoleona w Wilhelmshöhe, tak pisze o nim:

„Ledwiem go mógł poznać. — Co za zmiana! Od pięciu lat gdym go nie widział, postarzał o trzydzieści. — Twarz jego nalana, kolor jej żółty, chorobliwy, oczy zgasłe, zmęczone, bez blasku, bez wejrzenia nawet; ruchy rzadkie, nieśmiałe, prawie mechaniczne — czynią wrażenie smutne i bolesne. Fizijognomija odznacza się zupełnym brakiem wszelkiego wyrazu; zdaje się przybity aż do jakiegoś osłupienia apathycznego. Życie zdradza tylko już oddech ciężki. — Tyle dziś zostało z tego człowieka, przed którym niedawno drżała Europa, a z którego przyczyny płacze tyle tysięcy biednych ludzi. — Nemezis dzieło swe rozpoczęła. — Cesarz kładnie się późno, a wstaje bardzo rano. Po północy jeszcze widać światło w sypialnym pokoju. Przed brzaskiem już, między czwartą a piątą rano, pierwszą przechadzkę po ogrodzie odbywa. — Czyby spać nie mógł? Napoleon i jego jenerałowie rozumieją pewnie tragiczne znaczenie i niebezpieczeństwo położenia, ale niższe otoczenie, dwór — zdaje się go całkiem nie widzieć.“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Józef Ign. Kraszewski** w Dreznie. — Nakładem i drukiem **J. I. Kraszewskiego** w Dreznie.